Ner 17. Kraków 31 lipca 1869. Rok III.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni J. Czecha hotel drezdeński i F. Baumgardtena w głównym rynku.
Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny“ — w Krakowie.

KILKA CHARAKTERYSTYCZNYCH RYSÓW

Z ŻYCIA

MARJI STUART.

(Rzecz oparta na najnowszych badaniach historycznych)

przez *Edwarda Lubowskiego.*

(Ciąg dalszy).

Kara zbliżała się już powolnym krokiem; bo oto w wilię ślubu zaszła okropna scena między Marją a Botwelem. Nowy małżonek wymagał z góry i stanowczo, ażeby mu oddano młodego królewicza w opiekę; lecz Marja, która jedynie może przymiot i miłość macierzyńską zachowała niepokalaną wpośród wielorakich przygód każących jéj charakter, oparła się całą siłą lękliwéj o los dziecka matki całą potęgą nie zupełnie jeszcze zdeptanéj królowéj. Mimo zaślepienia, mimo szału, jaki opanował jéj uczucie względem tego demonicznego człowieka, zdobyła się jeszcze na opór, zaczerpnięty w czystéj i najświętszéj krynicy miłości matki! Doszło jednak w owéj scenie do tego, że chciała się przebić sztyletem. Zdarzenie to wzmocniło tylko czujność hrabiego Marr, ochmistrza młodego królewicza. Znał on dobrze zabójcę Darnleja, nienawidził go téż całą prawością swego charakteru; a ta nienawiść była mu bodźcem do przyspieszenia związku magnatów obrażonych wyniesieniem Botwela.

Dziwne to zaiste zrządzenie! przeciwstawiające zawsze Marji Stuart, téj kobiecie pragnącéj się bawić i używać, jakąś ideę głęboką przodującą wiekowi, lub téż ludzi wiary żelaznéj woli. Ztąd wypływało, że fanatyzm, szlachetność, energia, wytrwałość, grupowały się naprzeciw niéj niezłomnym murem.

Rysunki Artura Grotgera.
z wystawy paryzkiéj 1867



GŁÓD I NĘDZA.

Związek dojrzewał szybko. Trzy tysiące ludzi rozpoczęło tak nagle zaczepne kroki, że omal nie pochwycili nowo zaślubionych wśród wrzawy wspaniałego balu. — Ścigani, zaledwo zdołali umknąć do Dunbar, gdzie na gwałt poczęli zbierać hufce. — Królowa ufna w swoje siły, w szybkość natarcia, nie chciała oczekiwać liczniejszych posiłków, ale stanęła w obronnym szyku naprzeciw nieprzyjaciela w Carberry-Hill w dniu 15 czerwca 1567 r. Strumyk tylko przedzielał obydwie strony. Wojsko związkowych uważało walkę jako sąd Boga; żołnierze bowiem

Botwela sercem sprzyjali przeciwnikom. Dodać potrzeba, że do braku zapału i przekonania w jego żołnierzach, przyłączył się jeszcze nieporządek, spowodowany dumném Botwela postępowaniem. Był on jakiś wahający się tego dnia, niepewny, niespokojny, prawie lękliwy wbrew dotychczasowemu swemu wojennemu usposobieniu. Nie chcąc więc walki ogólnéj, zaproponował walkę pojedyńczą — na rękę. Duglas, Kirkaldy de Grange i wielu innych natychmiast stanęli gotowi, a wszyscy z tym zapałem, jaki daje przekonanie w świętość sprawy. Lecz i teraz Botwel się zawahał, może z obawy powierzenia swych losów przypadkowi ręcznego starcia. Postępowanie takie wywołało ogólne szemranie. Marja pojęła że nadszedł moment stanowczy. Prosiła więc o porozumienie się. Szlachetny de Grange postawił jéj dwa warunki: wyrzeczenia się Botwela i powierzenia się z ufnością wojsku. Musiała się zgodzić — poczém miała ostatnią rozmowę z Botwelem w ogólném zamieszaniu. Łzy płynęły jéj z oczu podczas gdy mówiła do dziko zmarszczonego kochanka: „Ratuj twe życie, ono mi niezbędne. Zobaczymy się w lepszych czasach.“ — „Lecz zachowasz wierność — odparł Botwel - twemu mężowi królowi?“ — „Niezawodnie! oto moja ręka!“ Botwel przycisnął ją gwałtownie do piersi, i zniknął w towarzystwie 12 jeźdźców. Dzielny rumak ocalił mu życie.

De Grange powróciwszy z narady, poprowadził Marję w środek obozu z czcią rycerską. Królowę chcącą przemówić, przywitały szyderstwa i krzyki żołnierzy stojących pod sztandarami, na których odbijał rysunek zabitego Darnleja. Na ten widok zemdlała kilka razy, a wkrótce potém wjechała do Edynburga w podartym ubiorze, z rozwianym włosem, błędnie tocząc oczami na towarzyszący jéj tłum gwizdaniami i przekleństwami. Osadzonéj w gmachu rządowym, zatknięto pod oknem sztandar z wyobrażeniem zabitego małżonka. Rozpacz wraz z niecém nieuleczoną tęsknotą za nieobecnym Botwelem przyprawiły ją prawie o utratę zmysłów. Niestety! rozpoczynał się szereg jéj nieszczęść i upokorzeń; rozpoczynał się ów srogi ból szarpiący się bezsilnie, wołający nadarmo pomsty lub ulgi! Oburzały ją do szaleństwa obelgi zaciekłéj ludności, żołnierstwa, przemoc panów, a mimo to wszystko nie mogla ani na chwilę zapomnieć o przyczynie swych nieszczęść, o demonicznym kusicielu. W rozmowie z Lethingtonem, który chciał użyć jéj do wyrzeczenia się Botwela na korzyść osobistéj polityki, nie znalazła innych słów, prócz gorącéj prośby: „ażeby jéj pozwolono połączyć się z ukochanym małżonkiem, z którym chce i nadal wszystkie dzielić losy.“ Godną zazdrości byłaby ta stałość w innych okolicznościach i z innym człowiekiem! Czas więzienny obróciła na pisanie listów do „*swego ukochanego serca*“, które (przejęte przez lordów) przekonały ich o nieprzezwyciężonym jéj oporze w téj mierze. Dlatego postanowiono nie wypuścić jéj z niewoli. Pod silną eskortą zawieziono ją do zamku Lochleven. Zamek ten był własnością Wilhelma Duglasa, brata przyrodniego Murraya. Wyglądał on raczéj na twierdzę, a jego właściciele na stróżów więziennych raczéj a nie na posiadaczy. Lady Duglas, uwieziona niegdyś przez Jakóba V ojca Marji Stuart, nie mogła zapomnieć téj hańby; mściła się więc na córce uwodziciela, do czego nadto przyczynił się fanatyzm religijny jako gorącéj zwolenniczki Knoxa i reformy.

Zaczęto się litować nad nieszczęśliwą; Elżbieta nawet poruszona, a może i niechętna za targnięcie się na majestat, wysłała ambasadora Trockmortona celem traktowania z związkowymi lordami o złagodzenie losu Marji. — Zręczny dyplomata dołożył wszelkich starań, ale nic nie mógł wskórać, mając przeciw sobie opinię publiczną Szkocji, politykę lordów, a wreszcie i może najgłówniéj nieuleczoną namiętność Marji dla Botwela.

Oto wyjątek z listu jego do Elżbiety w téj mierze:

„Główna przyczyna trzymania w więzieniu Marji leży w tém, że lordowie w niezgasłéj dla Botwela miłości widzą nieustanny powód walk i zamieszań. Mniemają téż, że rozwód jéj z Botwelem stałby się niemożliwym, gdyby odzyskała wolność.“

W drugim zaś liście pisze:

„Prosiłem ją, aby uległa wymaganiom i aby przestając go uważać za swego małżonka, sama zażądała rozwodu. Kazała mi odpowiedzieć, że się nigdy nie zgodzi, i że woli raczéj umrzeć. Popiera zaś to wyznaniem, że czując iż zostanie matką, napiętnowałaby tém samém dziecię „hańbą nieprawości!“ “

Trockmorton oświadczył lordom niechęć swéj królowéj. Przepraszali ale go nie dopuścili do widzenia się z Marją; tém więcéj bowiem teraz chodziło o to, aby uwięziona nie dowiedziała się o tak silném pośrednictwie.

Niepodobna było prawie obronić jéj nikomu, nawet i Elżbiecie; Knox bowiem potępiał ją wówczas głośno z kazalnicy; szlachta zaś w obawie przyszłéj nieochybnéj zemsty i prześladowania Botwela przecinała wszelkie możliwe warunki pojednania. Niektórzy z nich chcieli ją nawet sądzić za zabójstwo Darnleja; większość jednak postanowiła tylko odebrać jéj koronę, któréj się okazała niegodną. Postanowieniom tym sprzyjała pogarda powszechna w całéj Europie, jaką Marja na siebie ściągnęła, tak, że ambasador francuzki chciał przynajmniéj uratować dla Sztuartów tron Szkocji, i w tym celu czynił zabiegi dla Jakóba VI (I angielskiego). Szlachta wysłała Lindsaya z poleceniem przymuszenia Marji do zrzeczenia się tronu.

Mimo że Trockmorton uprzedził, że przymus ten nie unieważnia przyszłych jéj aktów, wahała się jednak podpisać; potrzeba było dopiero przycisnąć jéj rękę żelazną rękawicą Lindsaya. Abdykację tę podpisała dnia 24 lipca 1567 r. zrzekając się tronu na rzecz swego syna, mianując zarazem Murraya regentem. Młodego króla koronowano d. 25 t. m. w Sztirling.

Z wysokości wieży Lochleweńskiéj zatapiała Marja smętny wzrok w daleką i pustą wyspę, upatrując przy-

jaciół i pomocy. Zwątpienie i czarna troska ogarniała ją w téj zaledwie 50 stóp szerokiéj przestrzeni. W tak okropnym stanie duszy wydała na świat córkę (1568 roku), która późniéj została zakonnicą w Soissons.

Atoli, mimo tych srogich przejść, zniewag, których doznawała, niezapomniała uroku swych wdzięków; umiała natchnąć silną namiętnością Jerzego Duglasa, najmłodszego brata właściciela zamku. Zrobiła mu nawet nadzieję (w razie gdyby zdołał ją wyswobodzić) postarania się o rozwód z Botwelem, a poślubienia jego. Duglas użył wszelkich sposobów, atoli zdradzony, musiał uciekać, nie zrzekając się bynajmniéj powziętego zamysłu.

Zmuszonego do ucieczki zastąpił krewniak jego i powiernik szesnastoletni, Jerzy Duglas, którego zwano *małym Duglasem*, i który również ku Marji gorącą rozgorzał miłością. Odważny ten młodzieniaszek, dumny przedsięwzięciem ocalenia królowéj, a pierwszéj kobiety którą ukochał, wykradł klucze zamkowe, i w chwili gdy dozorcy w głębokim śnie byli pogrążeni, wymknął się z królową zamknąwszy wrota za sobą. Poprzednio jednak zapalił kaganiec w jedném z najwyższych okienek wieży, uprzedzając tym sygnałem oczekujacych przyjaciół. Przebraną królowę wprowadził w czółno. Niedługo przywitali uciekających okrzykami radości starszy Duglas i towarzysz jego Beatonn. Trochę znowu daléj przyłączył się do ocalonéj królowéj lord Hamilton z licznym orszakiem przyjaciół.

Nazajutrz odwołała uroczyście w zamku Hamiltona swoją abdykację. Hrabiowie d'Argill, Sommerville, Ross, Herries i inni uznali ją za panującą; zjechał nawet do boku królowéj ambasador Karola IX francuzkiego, de Beaumont.

Niedługo ujrzała się na czele 6000 ludzi. Nie przestała jednak układać się o zgodę z Murrayem, pomna niepewnego losu walki. Czując się nieszczęśliwą, obawiała się powierzyć przypadkowi. Murray za całą odpowiedź ogłosił (jako regent Szkocji) stronników Marji Sztuart jako winnych zbrodni stanu.

Znów bratnie hufce walczyć miały ze sobą. Murray z nielicznym ale dobrze wyćwiczonym żołnierzem po jednéj, hr. d'Argill i Hamiltonowie dzielni rycerze po drugiéj stronie. Plac boju przypadł pod miasteczkiem Langside, położoném na wzgórku.

Rozpoczął się zacięty i morderczy bój. Hamiltoni lwią odwagą bronili każdéj piędzi ziemi, lecz mieli do czynienia z de Grangém, bohatérem, wojownikiem, a zarazem najpierwszym strategikiem swego czasu. Mimo niesłychanéj waleczności, stronnicy Marji wzięci we dwa ognie i dwa lasy dzid, musieli szukać ocalenia w rozsypce. Nieszczęsna Marja patrzyła na walczących z galerji zamku Cathcart (zamku Lennoxów); radość i przerażenie naprzemian wkradały się do serca, aż je wreszcie ścisnęły nową rozpaczą, bo zwycięztwo wrogów było całkowitém. — Gwiazda Marji zbladła — los czy Opatrzność wypowiedział krwią poległych w téj walce, że Szkocja ma być protestancką, i że dla swéj katolickiéj królowéj ma już nie tron lecz więzienie!

Takąż samą dolę zgotował sobie zbrodniczy Botwel. W jednéj bowiem z utarczek na morzu (wrócił podobno do dawnego swego zawodu . . . pirata) z Duńczykami, popadł w ich ręce. Skazany na wieczne wygnanie, pozbawiony oznak rycerskich, zamknięty został w ponurych murach warowni Malmoë, sam ze swém sumieniem, ze swemi straconemi wspomnieniami, a bez przywiązania i pociechy jednéj choćby ludzkiéj istoty!

(Dalszy ciąg nastąpi).

SKARGA.

W przestrzeni wieków więdnie słowo boże;
Na żyznéj niwie, zamiast bujnych plonów,
Ciernie i chwasty się rodzą.
Tam, kędy stało męczenników łoże,
Wśród oddawanych cielcowi pokłonów
Czasy w rozkoszach przechodzą.

Pan uszedł z progów świątyń znieważanych,
Wyklął Lewitów bez ducha, bez wiary,
Żyjących oklaskiem tłumu,
I uniósł w niebo, z pośród serc skalanych,
Szczątki tajemnic — istotę ofiary,
Wydartą jadom rozumu.

Gdzie niegdyś hymny wznoszono Jehowie,
Tam dymią gruzy i sterczą zwaliska
Uśpione ciszą cmentarną;
Od cieniów nocy czarniejsze pustkowie
Ostatnią skargę pod niebiosy ciska,
Z ostatnią iskrą pożarną.

„Noc... i noc zawsze... bez modłów, bez pienia!
Ciszę przerywa krakanie złowieszcze
I straszne wilków biesiady...
Panie! Tyś zmienił rzekę zapomnienia
W popiół grobowy, — i sypiesz go jeszcze
Na straszne dzieło zagłady!

„Gdzież są szermierze? gdzie wieszcze, kapłani?
Gdzie pieśń? gdzie oręż? gdzie jest ducha dzielność?
Gdzie bohatery, proroki?...
Ach! czyż z ołtarzem na proch zdruzgotani,
Że ich nie zbudzi nawet nieśmiertelność?
Czy zdrój nie tryśnie z opoki?

„O! żyją ludzie — lecz wieszcze pomarli.
Duch z nich uleciał; została skorupa
Brudna, skalana do głębi;

Odkąd się chryzmy kapłańskiéj wyparli,
Każdy, podobny do żywego trupa,
Oddechem truje i ziębi.

„Pusto w ich duszy, i głucho i ciemno;
Zmysły śmiertelna owionęła rosa
I pieśni przedajnych dźwięki;
Śpią, kołysani rozkoszą nikczemną,
A żaden, żaden nie spojrzy w niebiosa,
I nie powita jutrzenki!

„Zbudźcie się, orly! zbudźcie się, sokoły!
Lećcie ku słońcu, gdzie powietrze wolne,
Lećcie w nadziemskie przezrocze;
Wam tchnienie łaski wyżebrzą anioły,
A wiatr je zrzuci — jak dziecię swawolne
Na wasze skrzydła prorocze.

„Wtedy, ach! wtedy z tym drogim ciężarem
Wracajcie ptaki na moje ruiny,
Na zgliszczach wystygłych stańcie,
I siejcie życie nad zgasłym pożarem
Wołając na me obłąkane syny:
„Powstańcie wieszcze, powstańcie!“

Wł. Łada.

FAKTOR.

Ramotka z życia prowincjonalnego.

przez ***Wł. Ładę.***

(Ciąg dalszy).

IV.

— Z poczty — rzekł lokaj, oddając list Feliksowi, który chodził po salonie, rozmawiając z panią Tecią Kozłowicz.

— Z Warszawy! — zawołał Felunio. — Pani pozwoli . . .

— Proszę, proszę; zapewne coś ważnego . . .

Guwerner rozdarł szybko kopertę i czytał:

„Kochany Feluniu! Nareszcie mogę ci donieść, że sprawa dobry obrót wzięła. Za pomocą zręcznych manipulacji udało mi się odebrać część skonfiskowanego majątku, a choć twoja scheda bezpowrotnie przepadła, uważam to com odzyskał za całość spadku po ojcu i do równego działu z tobą przystępuję. Suma to niewielka; 8,000 rubli, oto wszystko co otrzymasz z tak niegdyś znacznego majątku; ale myślę że ci ona pomoże do ustalenia losu. Muszę jeszcze dopełnić niektórych formalności; mam wszakże nadzieję, że najdalej za miesiąc pieniądze będą w twojem ręku. Sam ci je przywiozę. Twój — Damian.“

Łzy szczerego współczucia błyszczały w oczętach zacnéj pani Teci. Feliks biegał jak szalony po pokoju. Wszedł na to pan Kozłowicz i do życzeń żony swoje przyłączył. Po długiéj rozmowie, po tysiącach projektów stanęło na tém, że Felunio weźmie niewielką dzierżawę w sąsiedztwie Leszczynowa, do czego pan Kozłowicz czynną pomoc ofiarował. Feliks zaraz nazajutrz miał udać się do swojéj Jadwisi, podzielić z nią swoje szczęście i — dzień ślubu oznaczyć.

— Gorączka z pana — rzekł Kozłowicz uśmiechając się. — Teraz widząc pana, nie zapytałby pewnie Cezarkowski, czemu nie kończysz . . .

Lokaj stanął w progu.

— Proszę pana Feliksa . . .

— Co tam?

— Żyd jakiś ma interes.

— Żyd? . . . do mnie? . . .

— Czeka w kancelarji.

— Chyba cudem jakim dowiedział się, że zamyślam szukać dzierżawy — rzekł śmiejąc się Felunio. — To chyba do pana . . .

— Żyd wyraźnie mówił — odparł lokaj — że ma interes do pana guwernera, jest to arendarz pana Cezarkowskiego.

— Ha! zobaczmy czego chce — rzekł Feliks i udał się do kancelarji.

Herszko uchylił jarmułki.

— Kłaniam wielmożnemu panu . . .

— Czego chcesz?

— Proszę pana, ja tu przyjechał z wielgim interesem.

— Do mnie? gadaj prędko!

— Nu, prędko . . . *ali* to sekret . . .

— Dobrze, dobrze. Tylko mów, niemam czasu.

— Herszko obejrzał się, czy kto nie podsłuchuje i przymknął drzwi.

— Wielmożny pan chce się żenić?

— A chcę, — odparł śmiejąc się Feliks — nawet dziś wiem z pewnością, że się wkrótce ożenię.

— Pan wié? — zawołał przestraszony arendarz — a *wod* kogo pan wié?

— O, z tego listu.

— A wej! — krzyknął Herszko — czy pan Łubkowski co pisał?

— A cóż znowu pan Łubkowski ma do mojego ożenienia?

Chytry żyd zmiarkował, że wpadł na manowce.

— Nu tak . . . ja się pomylił . . . to wielmożny pan chće mieć żonę?

— Chcę, chcę, tylko nie nudź.

— Bo ja mam dla pana interes. Ein doskonale Geschäft . . .

— Jaki? . . . gadaj . . .

— Dwie wsiów, 200 tysząców . . .

— A to jakim sposobem?

— Nu, jaki sposób? . . . pan się ożeni i weźmie posag . . .

Felunio poskoczył i chciał żyda wyrzucić za drzwi. Ale myśl nagła zabłysła mu w głowie: postanowił dojść intrygi. Pohamował więc oburzenie i obojętnie na pozór zapytał:

— Któż to taki?

— Nu, co panu do tego? Jak pan powie że pan chce, to ja panu powiem jakie to panne.

— Więc to panna?

— Aha! bogate, *dużo* bogate panne . . .

— I dwakroć sto tysięcy?

— Aha! a później, jak jemu tata umrzy, to bendzie jeszcze więcéj.

Feliks zamilkł chwilę, niby namyślając się, a potém spytał nagle:

— Kto ciebie przysłał?

— Kto mnie przysłał? . . . mnie nikt nie przysłał, ja sam przyjechał.

— Gadaj, kto cię przysłał?

— Nu, ja już mówił, co ja sam... tak z przyjaźnie dla pana...

— Z przyjaźni? pierwszy raz mnie widzisz . . .

— Nu, co to ma do tego?... Jakże będzie?... czy pan chce?...

— Nic nie powiem, póki mi nie wyśpiewasz, kto cię przysłał.

— Aj! . . . jakie pan twarde do interesu . . . takie *intratne* panne . . .

Długo Felunio nalegał. Żyd bronił się i wszelkiego wspólnictwa wypierał. Guwerner uciekł się do fortelu. Powstał i zmierzył ku drzwiom.

— Nu, a interes? — zawołał przestraszony Herszko.

— Ruszaj sobie gdzie chcesz i nie nudź mnie.

— A wej! a wej! jakie pan twarde! . . .

— No, bywaj zdrów.

— Proszę pana . . . to ja panu powiem . . .

Tu Herszko obejrzał się, otworzył drzwi i spojrzał, czy kto w drugim pokoju nie podsłuchuje; potém zamknął je, i zbliżywszy się do Feliksa, szepnął:

— Mnie przysłał pan Cezarkowski. Nu, a teraz?

— A ile dał ci za to pan Cezarkowski?

— Dał?!! *won* mnie nic nie dał . . .

— To ile ci obiecał?

— Obiecał? on nic nie obiecał . . . ja jego arendarz, ja muszę robić, co *won* każe . . .

Szkic humorystyczny W. S.

W Redakcji dziennika duchów.



— Nie wierzę. Żaden żyd za darmo nie faktoruje.

— Czemu nie? Nu, ale ja powiem panu prawda, czysta prawda. Pan Cezarkowski da mi dziesiątkę.

— Kłamiesz żydzie. Za takie interesa płaci się tysiące . . .

— Tyszące? a wej! ach, du mein Gott! . . . . to ja byłby ein gemachter Herr! . . . . czy kiedy pan słyszał, żeby pan Cezarkowski płacił tyszące? a wej! ja *wu* niego wosim lat arenduję, a ja tego nie słyszał! . . .

Po długich certacjach, bo i żyd i Felunio jednakowy upór stawiali, przyznał się wreszcie Herszko, że ma obiecane 96 reńskich i 50 centów. Zaklinał się na żonę i dzieci, że ani grosza więcéj. Może byłby Felunio jeszcze parę reńskich wycisnął, ale i ta wiadomość była dostateczną.

— Nu, a teraz co będzie?

— Nic nie będzie.

— Nu, ja szczerze radzę... i pan Cezarkowski także... won panu bardzo życzy...

— Szanowny potomku Abrahama! - rzekł Feliks, biorąc żyda za pejsy i podprowadzając delikatnie ku drzwiom — ruszaj sobie z Panem Bogiem, i powiedz twemu panu, że nie jestem na sprzedaż.

Zanim osłupiały Herszko opamiętać się zdołał, już usłużny lokaj tak dzielnie wyręczył guwernera, że pan arendarz w jednéj chwili znalazł się koło swego wózka. Nie było innéj rady, jak poddać się przeznaczeniu.—Herszko wsiadł na wózek i mrucząc pod nosem: „Schwarzjur!... dummer goj!“ zawrócił do domu.

Zarzucą mi może nadobne czytelniczki, że Felunio nie dowiódł wielkiego bohaterstwa, odrzucając propozycję *po* odebraniu powyższego listu z Warszawy. Na to odpowiem, że: 1) nie mogę przekręcać faktów, bo jestem sumiennym kronikarzem, a Felunio istotnie list *przed* wizytą Herszka otrzymał; 2) majątek w dzisiejszych czasach jest zawsze silną pokusą, a wedle rachuby p. Deodata, stosunek: 8 do 200 wielu innych znęciłby; 3) znam dokładnie Felunia i ręczyć mogę, że i przed otrzymaniem listu tak samoby postąpił.

Herszko namyślał się przez całą drogę, co powiedzieć p. Deodatowi? Wyznać prawdę, źle, bo p. Deodat nie żartował i gotów był żyda obić i w 24 godzin wyrzucić z arendy. Nie powiedzieć? także źle, bo jak się wykryje? . . .

Po długich lamentacjach nad swoim nieszczęsnym losem, postanowił wreszcie Herszko wmówić w pana Deodata, że Feliks żądał dwóch tygodni czasu do namysłu, a tymczasem szukać cichaczem innéj arendy.

Les beaux esprits se rencontrent; pan Deodat także postanowił wmówić w panią Anastazję, że Lubkowski żądał dwóch tygodni namysłu. Na gorzkie wymówki zaś odpowiedział, że dopiero po północy wyjechał od pana Józefa, że w domu zastał list, wzywający go coprędzéj do Lwowa, i t. d. Pani Anastazja uwierzyła i przez dwa tygodnie czekała cierpliwie na wizytę konkurenta.

Następnéj niedzieli pani Zofia, która co niedzielę i święto żarliwie przez trzy godziny błagała Stwórcy o umiejętność mnożenia, zobaczyła, nie: raczéj posłyszała Jadwisię i Feliksa spadających z ambony! Z całego zgromadzenia wiernych, ją tylko jednę ten straszny wypadek przeraził. Zerwała się z ławki i wybiegła raczéj, niż wyszła z kościoła.

— Do domu! do domu! — zawołała, padając wpół zemdlona na bryczkę.

Iwanko, przestraszony bladością i głosem pani, zaciął konie, które pobiegły dawno niepraktykowanym kłusem.

Pan Deodat rozmawiał z Herszkiem o bardzo ważnym interesie; szło bowiem o przeprowadzenie maleńkiéj kontrabandy w gorzelni, według nowego, poprawnego projektu, podanego przez arendarza; za co tenże do czwartéj części zysku miał być przypuszczony. Pan Deodat obliczał właśnie możliwą cyfrę zysku, gdy bryczka wioząca panią Zofję i jéj nieszczęsne losy, stanęła przed dworem. Biedny Herszko!

— Mężu! mężu! — zawołała wpadając zadyszana — zdrada! . . . Feliks po zapowiedziach! . . . Herszko oszukał nas! . . .

Mąż obejrzał się, Herszko jednym susem był w sieni.

— Herszko! Herszko! . . . wróć się! — wołał p. Deodat.

Ale Herszko nie słuchał. Wziął nogi za pas i zadarłszy chałata zmykał jak opętany.

— A, szelma! — krzyczał pan Deodat. — Poczekaj, żydzie! . . .

— Cóż teraz poczniesz? — zapytała żałośnie p. Zofia.

— Niéma chwili do stracenia. Piszę zaraz do Feliksa . . . może się da odrobić. Do Lubkowskiego sam pojadę . . . albo . . . napiszę także. Każ tymczasem, niech Petro i Wasyl siodłają konie.

Pani Zofja wyszła spełnić polecenie, a faktor pisał pospiesznie następujące listy:

„Zmiluj się, panie Feliksie! nie depcz nogami własnego szczęścia. Pomyśl tylko: dwakroć posagu i żona w dodatku! Ja na twojem miejscu nie wahałbym się ani chwili. Pociesz kilkoma słowami nadziei twego strapionego przyjaciela — Deodata Cezarkowskiego.“

List do pana Lubkowskiego brzmiał:

„Szanowny i łaskawy sąsiedzie dobrodzieju! Interes z panem Feliksem zaczyna złe okazywać rezultaty. Nie tracę jeszcze nadziei, ale w razie gdyby pana doszły jakie plotki, pragnę je uprzedzić niniejszém pismem, przyczem zapewniam pana słowem honoru, że nawet w razie odmowy pana Feliksa, nie zaniecham téj sprawy. Podjąłem się usłużyć panu i nie zasnę spokojnie, póki celu nie dopnę. — Uniżony i t. d. Deodat Cezarkowski.“

Posłańcy, już gotowi, rozbiegli się galopem.

— Wiesz co, Dysiu — rzekła pani Zofja — a gdyby założyć protest u proboszcza?

— Hm . . . niewiem . . .

— On nie należy do parafii . . .

— Trzeba się namyślić . . . aj, moja głowa! moja głowa! piętnaście tysięcy . . . kogo tu podstawić? . . .

— Może pisarza z Łapowic? . . . młody, przystojny . . .

— Głupia jesteś! . . .

Pani Zofja majestatycznie wyszła z pokoju, a pan Deodat zamknął się na klucz i zaczął robić w myśli przegląd znajomych sobie holyszów.

Gdy Felunio przeczytał kartkę, wahał się przez chwilę czy odpisać, czy nie? W końcu, podarł ją w drobniutkie kawałeczk, włożył szczątki w kopertę i zaadresowawszy, wręczył czekającemu posłańcowi, z zaleceniem oddania jéj do rąk samemu panu Deodatowi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY O NIEPOLITYCE.

II.

Ja co gotów byłem umrzeć spokojnie, by dać świadectwo na sądzie ostatecznym, że Krakowianie to wcale przyzwoici ludzie, którzy nikomu wody nie zamącą — zmuszony jestem prosić Opatrzności, aby jeszcze nie wypuszczała ducha mojego, dopóki nie ujrzę końca r e f o r m, jakie ludek tutejszy urządza na korzyść klasztorów płci obojéj.

Pokazuje się więc, iż czasy zmieniają się, a i temperament krwi nie zawsze jednaki!

Rozmaicie widać bywa i na bruku krakowskim.

Przypomina mi się jedna bajeczka, w któréj jest sens moralny zamykający się temi słowy: „wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.“ Miałbym *duszną* ochotę wysnuć mój wątek niepolityczny z téj wielce pouczającéj dla łatwowiernych przypowieści i zastosować ją do nieszczęśliwych ojców Jezuitów, którzy ni ztąd ni zowąd padli ofiarą rozgniewanych a buńdziucznych zawadjaków nocnych; — ale, ponieważ mówi druga przypowieść (niewiem która lepsza) że „nie zasłużony ale szczęśliwy“ odbiera nagrodę, znalazłem się w pewném podejrzeniu do przypowieści, i nie chcę już nic gruntować na téj kruchéj podstawie.

Bowiem, zdaje mi się, daremną byłoby rzeczą szukać

racji w calém owym napadzie na klasztor cichych ojców, który zaledwie dopiero wyrasta z ziemi. I doprawdy, w prostocie mojéj nie mogłem dojść ani powodu, ani zrozumieć mogłem sprawiedliwości ludu, w którą przez wzgląd na katechizm demokratyczny, zmuszony jestem wierzyć z zamkniętemi oczyma, — nie dotykając się nawet rany Chrystusowéj.

Nie mam przed sobą historji zakonu *Ś. Ignacego Lojoli*, i nie wiem w czém mogli zgrzeszyć jego następcy, ale przypuściwszy nawet iżby zgrzeszyli, to nigdy *ciemnością a głupotą*, jak to opiewała na prędce zaimprowizowana petycja. Zresztą aby utrzymać wolność zdania i godność indywidualną każdego obywatela w państwie Austryackiém, nie będę się sprzeczał i o to, wiedząc, że ojcowie Jezuici dadzą się przeprosić za chwilowe uniesienie *ciemnéj* części narodu krakowskiego, i nie opuszczą nas z gniewem w swéj duszy pełnéj miłości i ognia chrześcijańskiego.

Zaspokoiwszy na tym punkcie moje sumienie, przechodzę do drugiéj części niekrwawego owego dramatu, to jest do saméj akcji czyli gry artystów nocnych. Jakkolwiek sam nie byłem na owém widowisku bezpłatném, słyszę atoli że batalia szła na gorąco, a oglądając na drugi dzień przy świetle bożego słońca zgliszcza i popioły, smutne wyniosłem ztamtąd przekonanie, iż nic nie ma trwałego na świecie, prócz wieczności chyba. A smutniejsze jeszcze myśli filozoficzne pukały do wnętrza duszy mojéj, że całe to zdarzenie jestto ni mniéj ni więcéj jak woda na młyn moskiewski, z którego Katkowy wypiekać będą bułeczki na komunikanty prawosławne. Uwagę tę notuję tutaj jedynie w nawiasie, który może się przydać do historji niepolityki naszéj. A ufny w rozum i dojrzałość pełnoletnią obywateli krakowskich bez różnicy płci i wieku, tuszę sobie, że zaburzenia porządku publicznego nawet bez pomocy armii rezerwowéj, nie powtórzą się więcéj. Bo pytam się was, co za korzyść z tłuczenia cudzych okien i wybijania drzwi cudzych? Po za entuzjazmem i rozgorączkowaniem leży straszna prawda naga i sucha jak paragrafy kodeksu karnego, a na imię prawdzie owéj jest *koza!* Cicha, spokojna koza, z okratowanemi oknami, gdzie ilość potraw ograniczona do bardzo szczupłéj dyjety, gdzie ani w bilard grać nie można, ani towarzystwa znaleźć do partyjki niewinnego bezika. — Obywatele! jeżeli odezwy nie zdołały poskromić krewkości waszéj, — to przyszłość nie różowa jaką wam rzuciłem przed oczy, niechaj przemówi do was w ten sposób, iżbyście cicho spali w domostwach waszych.

Z Zacisza, dnia 29 lipca 1869 roku.

✝ ✝ ✝

*** **Popis szkoły śpiewu dramatycznego.** — Dnia 24 lipca r. b. Szkoła śpiewu, którą p. Mirecki po ojcu swoim objął, ma swoją ugruntowaną tradycję. Niegdyś przysposabiała ona znakomite śpiewaczki i śpiewaków do opery, którą w Krakowie utrzymywać było można — dzisiaj przy zmienionych stosunkach, jest jedyną w Krakowie instytucją, gdzie młodzież obojéj płci w śpiewie gruntownie wykształcićby się mogła – gdyby była ku temu ochota. Dużo możnaby o tém pisać — Na dzisiaj zanotujemy tylko, że popisy téj szkoły odbywające się wobec dyrekcji techniki i nielicznego grona osób interesujących się bądź śpiewającemi, bądź śpiewem, stanowią dla nich jedną z najprzyjemniejszych chwil w roku. Nie będziemy tu *oceniać* produkcji — podamy tylko dla *znawców* i na *świadectwo pracy* program popisu:

1. Duet z opery **Niema z Portici** Aubera na Tenor i Bas.
2. **Don Sebastiano**, opera Donizettego, tercet na Sopr. Tenor i Bas.
3. **Dnnna Caritea**, Mercadantego, Contraalt solo.
4. **I profughi flamminghi**, Trio na 2 Sop i Ten.
5. *a)* **Romans** z opery Wagnera **Tanhauser**, na Bas.
   b) **Rozmowa ze słowikiem**, pieśń Stanisława Mireckiego, Sop. solo.
6. **Gloria** ze mszy Rossiniego, trio na C. T. B.
7. **Cavatina** z opery Verdego **Nabuchodonosor** Bar. solo.
8. Duet z **Lukrecji** Donizettego na Alt i Ten.
9. **Sierota**, pieśń St. Mireckiego na Contraalt.
10. Madrygał Saladina, chór na głosy mięszane.

*** **Sąd karny krakowski** na skutek bezimiennego doniesienia jakoby w klasztorze Karmelitek bosych na Wesołéj znajdowała się więziona od lat przeszło 20-tu zakonnica Barbara Ubryk, zamknięta w celi nieopalanéj, bez żadnego odzienia — wydelegował komisję do zbadania prawdy na miejscu.

Dnia 20 b. m. Komisja ta złożona z sędziego Dra Gebhardta, protokólisty Kwiatkowskiego, oraz dwóch obywateli Stanisł. Gralichowskiego i Teodora Parviego jako asystentów sądowych udała się do ks. biskupa Gałeckiego, celem uzyskania pozwolenia do zrobienia rewizji w pomienionym klasztorze, a uzyskawszy takowe, w asystencji ks. prałata Spitala jako delegowanego ze strony kapituły, udała się następnie do klasztoru panien Karmelitek, w celu dopełnienia powinności sądowych.

Po przybyciu do klasztoru, ks. prałat zapytał się o ks. kapelana, a ponieważ tenże nie znajdował się w klasztorze, zadzwoniono do furty i oznajmiono, że z rozkazu sądu i za piśmiennem upoważnieniem ks. biskupa ma się odbyć w klasztorze komisja.

Ponieważ przełożona była słabą, przeto sędzia oświadczył pannie przeoryszy, że wzywa ją w imieniu prawa, aby sumiennie z całą prawdą odpowiadała na jego zapytania.

Na pierwsze zapytanie uczynione przez sędziego: Czy w klasztorze znajduje się Barbara Ubryk? trzy obecne zakonnice przeraziły się niezmiernie i chciały uciekać, lecz na wezwanie powtórne sędziego, podprzełożona poprowadziła komisję na pierwsze piętro, gdzie po przebyciu długich kurytarzy, doszedłszy do rogu prawego pawilonu, znaleziono podwójne drzwi drewniane zasunięte ryglem, w którego skoblu tkwił kołek.

Za otworzeniem drzwi, ukazała się celka zupełnie ciemna, gdyż okno pod sam wierzch prawie było zamurowane i tylko wąziuchną szczeliną przemykało się światło. Wyziew niemiły z wygódki znajdującéj się w téj celce buchnął przez drzwi otworzone. W celce téj, długiéj 7 kroków, a 5 kroków szerokiéj, ujrzano tuż przy drzwiach na garści słomy startéj na proch, postać kobiety bez żadnego ubrania siedzącą na ziemi. Ciało jéj czarne, bo od niepamiętnych czasów nie myte, włos rozczochrany, pozlepiany błotem, wzrok trwożliwy, wyraz twarzy przestraszony, ciało całe niezmiernie wychudłe.

Kobieta owa ujrzawszy obecnych, zawołała składając ręce:

— Dobrodzieju! jeść, jeść — a będę posłuszną . . .

Sędzia uspakajał ją łagodnemi słowy i kazał podać jedzenie, które stało przy drzwiach w dwóch miseczkach. Jedzenie to pochwyciwszy chciwie rękami, jeść poczęła.

Podług opowiadania przełożonéj (na miejscu): Barbara Ubryk, przyjęta do klasztoru w 1841 r. pochodzi z Warszawy, gdzie cierpiała chorobę umysłową, z któréj wyleczona przybyła do Krakowa, i od owego czasu znajduje się w owéj celi z porady ś. p. Dra Juljana Sawiczewskiego (zmarłego w 1848 r.), następnie ordynujący w klasztorze Karmelitek bosych Dr. Wróblewski kazał jéj zamurować okno, z powodu, że światło jéj szkodzi (Dr. Wróblewski bawi obecnie u wód, zkąd miał telegrafować, że o niczém nie wié), od pięciu zaś lat żaden lekarz jéj nie widział.

Sędzia poleciwszy członkom komisji aby nic poruszoném nie było, udał się po ks. biskupa, z którym niebawem powrócił.

A gdy przy zapalonych świecach ks. biskup ujrzał więzioną i jéj więzienie, oburzył się niezmiernie, mówiąc: „Toć to wasza miłość bliźniego, kobiety, czy wy jesteście ludźmi czy furjami, że stworzenie boskie tak traktujecie,“ a następnie kazał przenieść Barbarę Ubryk do wygodniejszéj celi, co przełożona nie bez oporu uskuteczniła. Przeniesiono ją więc na dół, gdzie dano pościel i łóżko.

W téj chwili nadszedł ks. spowiednik, któremu ks. biskup czynił ostre wyrzuty. Kapelan zmieszany tłumaczył się że to obłąkana, któréj niepodobna było dawać odzieży, ponieważ drze takową na sobie — i dziwił się niezmiernie, zkąd się o tém mógł sąd dowiedzieć.

Następnie spisano i podpisano protokół.

We czwartek udała się powtórnie ta sama Komisja wraz z prokuratorem rządowym p. Kędzierskim i z przybraniem lekarzy Dra Macieja Jakubowskiego prymarjusza domu obłąkanych i docenta medycyny sądowéj Dra Blumenstocka do klasztoru panien Karmelitek na Wesołéj. Komisja tym razem znalazła Barbarę Ubryk w celi wygodnéj, oczyszczoną z brudu i odzianą. Barbara liczy obecnie lat 52, jest cieleśnie wycieńczoną, siedzi ciągle w kąciku, wybucha gniewem na widok zakonnicy i ks. spowiednika, i czyni wrażenie osoby obłąkanéj.

Na zapytania lekarzy odpowiada wprawdzie bez związku ale łagodnie. Lekarze udali się na obejrzenie celi, ale znaleźli już i okno wybite i celę wyczyszczoną i uprzątniętą.

Następnie udano się do celi panny przełożonéj, dla zrobienia rewizji i wyszukania papierów mogących rzecz wyjaśnić. Panna przełożona przeczyła aby jakowe istnieć miały, lecz zapytana powtórnie, aby pod sumieniem jako zakonnica zeznała, odpowiedziała: „Nie wiem.“

Spisano protokół sądowo-lekarski, gdzie lekarze orzekli, że cela w któréj zamknięto Barbarę Ubryk, pod względem hygienicznym musiała wywrzeć wpływ najszkodliwszy na stan fizyczny i umysłowy Barbary. Że nadto, trzymanie zdrowéj nawet osoby w takiéj nieodświeżanéj i nieopalanéj przez lat 20 przeszło celi, musiałoby zniszczyć zdrowie fizyczne i przyprowadzić do utraty władz umysłowych.

Jednakowoż co do stanu zmysłów Barbary, po zbadaniu nic stanowczego orzec jeszcze nie można.

W skutek uznania lekarzy sądowych, że przeniesienie Barbary Ubryk nastąpić może bez narażenia jéj zdrowia, przewieziono ją do szpitala Św. Ducha, gdzie pod troskliwą opieką sióstr miłosierdzia pozostaje. — Skutkiem zmiany powietrza i pożywienia Barbara zapadła na zdrowiu, jednakowoż stan ten nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa. — Chora wygląda tylko nadzwyczaj mizernie, ale zachowuje się spokojnie i zdaje się być zadowoloną z obecnéj zmiany swojego położenia.

Dnia 25 lipca o godzinie 3 po południu, komisarz policji pan Paszma z polecenia Sądu kryminalnego przyaresztował przełożoną Karmelitek p. Marję Wężyk oraz podprzełożoną p Teresę Kosierkiewicz. Panna Maurycja Bobnowska zakonnica, za pozwoleniem sądu towarzyszyła do więzienia pannie Wężyk dobrowolnie w charakterze siostry służącéj.

O dalszym przebiegu sprawy podamy w następnych numerach. Dziś tylko tyle dodać możemy, że ks. Karmelita Lewkowicz z Czerny, który dawniéj był kapelanem u Karmelitek, zmarł nagle.

Uważaliśmy za zbyteczne dodawać komentarzy wobec haniebnego faktu przejmującego zgrozą i oburzeniem każde uczciwe serce — ograniczając się jedynie na streszczeniu czynności sądowych dokonanych w téj sprawie.

A chociaż widzimy już straszny fakt przed sobą, radzibyśmy, niewierząc jeszcze, zawołać: To być nie może!

A przecież prawdą jest, że przez lat dwadzieścia z górą nie znalazła się dusza miłosierna między pokutnicami klasztornemi, w którejby iskra uczucia ludzkiego zadrgała!

Przez lat dwadzieścia patrzano się na powolne konanie słabéj istoty — przypuśćmy nawet obłąkanéj — i urągano się mściwie nieszczęśliwej — żyjącéj bez światła bożego, o zimnie i głodzie — i pełniono obowiązki kata — obojętnie!!

Straszne są widać tajemnice murów klasztornych!

*** Jutro, t. j. w niedzielę, odbędzie się w Wieliczce przedstawienie teatru Amatorskiego na korzyść zasłużonego chlubnie weterana sceny naszéj p. *Derynga*. Program podobny z sobotniego przedstawienia w Krakowie.

Korespondencja „Kaliny.“

P. **St. Równ.** w Paryżu. — List odebraliśmy; za łaskawe zajęcie się naszemi interesami — dziękujemy. Co do mód, listem obszerniejszym damy odpowiedź. Przekaz przyszlemy księgarni Mickiewicza. Co do tłumaczenia nic jeszcze — starać się jednakże będziemy, aby można znaleźć nabywcę.

P. **Lolo.** — Odsyłamy pana do gramatyki *Lercla*, którą poleciliśmy w N. 15 „Kaliny“, dla tych co pisać po polsku nie umieją.

P. **Ziel.** pod Trembowlą. — Humoreska bez humoru — to taksamo jak ładna panna bez posagu.

P. **S. Ł.** — Sprawunki wysłane.

Do dzisiajszego Nru dołącza się dla Prenumeratorów zamiejscowych na **okaz** pierwszy numer pisma humorystycznego illustrowanego p. t: **„Djabeł.“** Numer 3-ci wyjdzie d. 7 sierpnia.

Prenumerata kwartalna zlr. **jeden.**

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 zlr. — półrocznie 3 zlr. — ćwierćrocznie 1 zlr. 50 c. w. a.

Z przesyłką pocztową: rocznie: 7 zlr. 20 c. — półrocznie 3 zlr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 zlr. 80 c. w a.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 zlr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 zlr. 70 c. — półrocznie 1 zlr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 zlr. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Bracka, albo w księgarni J. Czecha lub F. Baumgardtena.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencji „Czasu“ księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.

W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcji.

Reklamacje niepopieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera.

Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*